
ANNALIS
UNIVERSITATIS MARIAE CURIE-SKŁODOWSKA
LUBLIN – POLONIA

VOL. LXVI, 1

SECTIO B

2011

Emerytowany profesor Państwowego Instytutu Geologicznego, 80-808 Gdańsk, ul. Reformacka 17a, m. 6

JÓZEF EDWARD MOJSKI

Moja geografia: Lublin, Narutowicza 30 (lata 1945–1950)

My geography: Lublin, Narutowicza 30 (in the years 1945–1950)

„Tekst ma formę wspomnienia, eseju dotyczącego dziejów pierwszych lat lubelskiej geografii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, napisanego przez J. E. Mojskiego – geografa, geologa, wybitnego polskiego uczonego o renomie międzynarodowej. Profesor J. E. Mojski ukończył studia geograficzne na UMCS, wykonując pracę magisterską u prof. Adama Malickiego, jeszcze w czasie studiów i krótko po nich był pracownikiem UMCS jako asystent. Przedstawiony tekst, napisany piękną polszczyzną, o dużych walorach literackich, dotyczy ludzi – profesorów i studentów: ich życia w trudnych latach powojennych i ich dalszych losów”. Z recenzji prof. Józefa Wojtanowicza

ZAMIAST WSTĘPU

Z pełnym przekonaniem zdecydowałem złożyć do druku w „Annales UMCS” te kilka wspomnień z moich lubelskich lat studenckich. Chcę bowiem wrócić do tego szczęśliwego okresu nie tylko we wspomnieniach, ale także miejscem ich opublikowania. Były to szczęśliwe lata, jak dla wielu innych, którzy studiowali. Jednak dla naszego rocznika był to czas szczególny: nie tylko początek studiów, ale także koniec wojny – strasznego okresu, który każdy z nas przeżył w inny sposób, choć jednakowo na zawsze pozostał on w pamięci.

Tekst niniejszy jest poszerzoną i nieco zmienioną wersją części moich wspomnień opublikowanych kilka lat temu przez Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego pod tytułem *Kilka wspomnień bez tytułu*. Obecny tytuł – najprostszy, jaki mi się nasunął, jest też historyczny. Czy bowiem ktoś z obecnie studiujących geografii wie, że Narutowicza 30 to pierwszy adres zakładu naukowego, gdzie rozpoczynali swe studia pierwsi studenci geografii w UMCS?

JESTEM STUDENTEM

Kiedy po uzyskaniu matury późnym latem 1945 roku w Lublinie stanąłem przed decyzją, co robić, wiedziałem tylko jedno – że chcę się uczyć dalej. Tylko czego? Muzyki, geografii czy też zostać sportowcem? Tę trzecią możliwość uznałem za najbardziej pociągającą i oczywistą. Wciąż pamiętałem Gieruttę, jeszcze sprzed wojny, i tak niedawne skoki i rzuty kulą na maleńkiej plaży nad Wieprzem w Trawnikach.

Zwyciężyła geografia. Nie miałem pojęcia, jak to załatwić, więc zacząłem przeglądać ogłoszenia w gazetach. Szybko trafiłem na informację o przyjmowaniu na studia geograficzne w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Zdecydowałem, że tam pojadę.

Nie pojechałem jednak przez przypadek. Miałem w Lublinie kolegę, z którym kończyliśmy klasę maturalną w Liceum Drogowym w Lublinie – Bolka Targońskiego. Miał on bliską kuzynkę, geografkę, panią Balińską. Później nazywała się Balińska-Wuttke, po mężu, który był doskonałym dydaktykiem i którego uwielbiałem, bo pięknie mówił. Po jego wykładzie mogłem z pamięci powtórzyć cały jego tekst. Tyle

że słuchałem go zaledwie parę razy na Zjazdach Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Otóż kiedy dowiedziała się ona, że mam ochotę studiować geografię w Krakowie, powiedziała mi, że przecież jest geografia w Lublinie w nowo otwartym właśnie Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. W ten sposób nie zostałem studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ale studentem w Lublinie. Kiedyś, po wielu latach, w czasie pięknego jubileuszu Leszka Starkla powiedziałem kilka uroczystych zdań na jego cześć. Dodałem też, że nie wiadomo, jak potoczyłyby się jego losy, bo przecież miałem studiować w Krakowie, i gdyby nie kuzynka mego kolegi, miałby konkurenta.

I tak jesienią 1945 roku zacząłem studia. Nie piszę, że zostałem studentem. Właściwie zaczynałem studiować, nie mając zielonego pojęcia, jak to robić i co należy robić, a czego lepiej nie robić. Ważniejsze było wówczas zostać studentem, niż studiować. Ale równie ważne było chodzić na zabawy studen-



Fot. 1. Józef Edward Mojski w 1945 roku.
Pierwszy rok studiów na UMCS-ie

kie, zwłaszcza te karnawałowe. Pewnie i dziś tak bywa, tyle że te zabawy wyglądają zupełnie inaczej. Tak czy owak, było to zupełnie nowe życie. Zafundowałem sobie wydziałową czapkę bratniacką: rogatywkę w kolorze buraczkowym, z cienkim granatowym i zielonym otokiem. Niewiele z niej jednak korzystałem. Stało się bowiem coś może jeszcze bardziej nagłego, ale i nowego – zostałem pracownikiem naszej uczelni.

Miałem już wtedy kolegę – Jasia Trembaczowskiego. Udało mu się przeżyć Oświęcim. Przyjechał do Lublina, bo w obozie poznał brata profesora Adama Malickiego, który przeniósł się właśnie ze Lwowa i objął kierownictwo Zakładu Geografii na Wydziale Przyrodniczym UMCS w Lublinie. Brat znalazł się oczywiście w Lublinie przy profesorze i od razu ściągnął tu Jasia. Ten otrzymał jakiś pokój u docenta Alfreda Jahna i dzięki niemu dostał pracę w Zakładzie Mineralogii i Petrografii u Pani Profesor Marii Turnau-Morawskiej. Wiele placówek uniwersyteckich potrzebowało ludzi, ich kierownicy przyjmowali więc studentów. Jasio zrobił mi reklamę u Pani Profesor, a ta – kiedy zobaczyła, że umiem trochę rysować technicznie – zatrudniła mnie natychmiast. Tak oto zostałem zastępcą asystenta, zanim otrzymałem indeks. Dziś powiedziałoby się, że przez kumoterstwo! Ale wówczas słowo to było nieznanie. Byłem szczęśliwy, i – co ważne – miałem stały dochód. Studia geograficzne stały się faktem, i to bez potrzeby wyjazdu do Krakowa! A więc nagle praca i studia! Tyle nowego i tyle nowych ludzi dookoła. Dziś widzę, że wówczas do studiów wyższych nie dorastałem. Byłem na roku najmłodszy. Nie dorastałem psychicznie. Życia nie brałem dostatecznie poważnie, mimo że tyle przeżyłem w latach wojny.

Jeśli chodzi o doświadczenia życiowe, więcej dała mi praca. Osobowość mojej szefowej, prof. Marii Turnau-Morawskiej, ułatwiła mi zrozumienie wielu spraw. Nauczyła mnie ona tolerancji i nabrania dystansu wobec tego, co dzieje się dookoła. Tego samego uczyła mnie mama. Obie na pewno działały nieświadomie i bez zamierzonego celu. One po prostu takie były. A ja sam łatwo ulegałem wpływom innych osób. Zawsze tak było. Dobrze pamiętam, jak później, kiedy długo przebywałem w Zakopanem, bardzo szybko zaczynałem mówić jak górale – początkowo z ich akcentem, a potem przejmując ich słowa. Tak było i potem w terenie: w Lubelskiem, na Podlasiu, na Suwalszczyźnie, na Pomorzu, na Kujawach czy na Mazowszu. W sposób naturalny zaczynałem mówić tak jak mieszkańcy tych regionów i tak samo jak oni zaczynałem się zachowywać. Często pomagało mi to, choć nie zawsze. Zawsze jednak przychodziło mi to łatwo – pochodzę przecież ze wsi. Na wsi czułem się lepiej niż na przykład po latach w dobrych hotelach na zachodzie Europy. Ale i do nich szybko przyzwyczałem się – bo one są wszędzie mniej więcej jednakowe. Rozmawiałem jakiś czas temu z moim synem Potkiem (Piotrem), który od lat mieszka w Szwajcarii i podróżuje po całym świecie od wielu lat. Powiedział mi to samo. Hotele są wszędzie jednakowe, ale ludzie są bardzo różni – i to jest jedna z przyjemności tego świata.

Moja pani Profesor promieniowała również dobrocią, to łatwo dawało się zauważyć. Trudniej przyszło mi zorientować się, że miała artystyczną duszę. Do dziś nie wiem na pewno, dlaczego przekonałem się o tym, jednak narastało to we mnie przez cały

czas pracy w Zakładzie. Kiedyś, w jakiejś rozmowie od niechcienia powiedziałem, że uczyłem się w czasie wojny grać na skrzypcach. I pamiętam, jak spojrzała na mnie – długo, bardzo długo i milcząco. Nigdy przedtem, i nigdy potem, tak na mnie nie patrzyła. Do tej pory nie bardzo wiem dlaczego. Często sprawiała wrażenie, jakby będąc bardzo zaangażowana w to, co w danej chwili robi, myślami była zupełnie gdzie indziej. Wyglądało to tak, jakby nawet nieco lekceważyła fakt, gdzie jest, z kim jest i czym w danej chwili się zajmuje. Do dziś nie wiem, na czym polegała ta jej „artystyczna dusza”. A może w ogóle jej nie miała? Nie wiem.

PIERWSZY ROK STUDIÓW NA UMCS-IE

Tu miejsce na kilka wspomnień o tych osobach, z którymi zaczynałem moją naukową przygodę, czyli o koleżankach i kolegach z pierwszego roku studiów geografii w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W 1945 roku istniał tam jedyny zakład geografii – Zakład Geografii Fizycznej. Nas, studentów, było kilkunastu. Nazwisk kilku z osób nie pamiętam już zupełnie. Ale większość pamiętam bardzo dobrze. Jedną z tych osób stała się najważniejsza dla mnie – moja przyszła żona Nel (Aniela) Barthel de Weydenthal; wszystko, co z nią wiązało się, było dla mnie oryginalne, np. obiad weselny w klasztorze ss. urszulanek w Rybniku i cała rodzina Neli. Nim trafiła na nasz rok, przeszła wszystko, co najgorsze mogło spotkać każdego z nas w latach wojny. Straciła dom w Bądkowie na Kujawach, ojca w Mauthausen. Szybko przekonałem się, że nie ona jedna.

Pamiętam Lonię (Leontynę) Barwińską, późniejszego pracownika Instytutu Nauk o Ziemi UMCS; pamiętam Panią Jadwigę Augustyńską, zawsze poważną i budzącą szacunek; pamiętam Marysię Bielecką z Modliborzyc. Była biedna, ponieważ lata całe czekała na powrót męża, który tuż po ślubie został powołany do wojska jako lotnik i słuch po nim zaginął. A Marysia czekała i czekała. Wiem, że nie doczekała się nigdy. Utrzymywałem z nią luźny kontakt przez wiele lat, została bowiem pracownikiem Oddziału Świętokrzyskiego Instytutu Geologicznego. Tam zrobiła doktorat i prowadziła badania na zachodnim Roztoczu, wykonując m.in. mapy geologiczne. Zawsze była ubrana na czarno, na znak żałoby po mężu. Pamiętam też kolegę Dudzińskiego, przedwojennego harcerza o wysokiej randze. Na studenckich wycieczkach terenowych starał się utrzymywać nas w ryzach i wojskowym porządku. Niczego jednak nie narzucał. Była wśród nas Jadwiga Nieścioruk – i tyle ją pamiętam. Nieco lepiej pamiętam Zytę Sierżęgę, ale chyba tylko dlatego, że do Zakopanego i na wycieczkę w Tatry wybrała się w... lakierkach na wysokich obcasach. Znalazł się również na naszym roku wysoki rangą oficer. Chodził zawsze w mundurze. Chyba rok po nas studiowali: Krystyna Czyż, Wanda Zachara i Wacek Polakowski. Krystyna, „królik doświadczalny” z Ravensbrück, wyszła za mąż za profesora Tadeusza Wilgata, znaną postać polskiej geografii, mojego profesora z Kursu Przygotowawczego w latach wojny. O innych kolegach z roku nie wspominam, bo piszę o nich w innych miejscach.

Są to lubliniacy od urodzenia: Henryk Maruszczak i Jasio Morawski oraz Ślązak i oświęcimiak Jaś Trembaczowski. Wszyscy oni obrali drogę naukową i wykonali dobrą, znaną w Polsce, i nie tylko, pracę. Dziś, z perspektywy wielu lat, widać, jak bardzo ten nasz rok studiów był mieszaniną różnych ludzi, ich pochodzenia, wieku, zawodu, przeżyć wojennych, ukończonych wcześniej szkół. Ale też widać, że byliśmy odbiciem ówczesnej Polski, jej typowym obrazem, mieszaniną różnych środowisk, obszarów pochodzenia, religii, a zwłaszcza przeżyć wojennych.

BYŁ ROK 1946...

Był rok 1946, może 1947. Coś robiłem w naszym pokoju zakładowym. Pamiętam, że był ze mną Jasio Trembaczowski. Nagle wchodzi nasza Pani Profesor i mówi, że jutro będzie u nas w Zakładzie wizyta bardzo ważnego pana z Warszawy. Dziś jest jeszcze gdzieś blisko w terenie, ale jutro prosi o wizytę i chciałby zobaczyć się z nami. Nazwisko puściłem mimo uszu. Zapamiętałem jednak, że ma być bardzo miły i że szuka chętnych do pracy w terenie. I jedno, i drugie bardzo mi się podobało.

No i jest to „jutro”. Ważna chwila. Obaj z Jasiem nie wychodzimy w ogóle z pokoju i czekamy z dużym napięciem na to, co się stanie. Pamiętam, już jest południe, na dworze słonecznie (okna Zakładu wychodziły na wschód i południe), ciepło, był to chyba początek lata. Wreszcie wchodzi ten pan. Bardzo, bardzo wysoki, o nic niemówiącej twarzy, ale ciepłym spojrzeniem. Strój na wpół terenowy, ale w pumpach, w porządnym, zabłoconym terenowym butach. Podchodzi do każdego z nas i wita się słowami: Rühle jestem.

Tyle zapamiętałem z pierwszego z nim spotkania! Chyba obaj z Jasiem nie wygadaliśmy najgorzej. Moja przygoda, życiowa przygoda z Państwowym Instytutem Geologicznym, rozpoczęła się właśnie wówczas i trwała ponad pół wieku. Profesor był moim przełożonym aż do swej emerytury. Był promotorem mego przewodu doktorskiego, inspirował habilitację, ale przede wszystkim kierował moimi zainteresowaniami i pomagał w ich realizacji. Zawsze bardzo dyskretnie, jak gdyby z daleka, bez wnikania w szczegóły, bez rozpieszczania mnie. Był zawsze, kiedy go potrzebowałem, choć nigdy go o to nie prosiłem, aby właśnie wówczas był.

Zaczęliśmy współpracę z Państwowym Instytutem Geologicznym. Ale nie tylko Jasio i ja. Rühle zaangażował jeszcze kilka osób z Lublina, np. doktora Andrzeja Walczowskiego oraz na krótko Marysię Bielecką. Później szczegółowe kartowanie geologiczne wykonywali nasi koledzy: Henryk Maruszczak, Jasio Morawski, Andrzej Kęsik. Upłynęło sporo czasu, nim przekonałem się, że dla PIG-u pracował nie tylko ośrodek lubelski, ale i wiele innych ośrodków. Dziś ocena takiej działalności pana w pumpach nabiera zupełnie innego znaczenia. To było przecież nie tylko wprowadzenie w działalność naukową wielu bardzo młodych ludzi, ale była to również dobrze przemyślana pomoc finansowa dla nich wszystkich, w ówczesnych trudnych warunkach powojennych. Nie muszę dodawać, że nami, lubliniakami, czas jakiś

kierował również, współpracujący z PIG-iem, ówczesny docent, późniejszy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego – Alfred Jahn.

Miałem też innych kolegów prócz Jasia Trembaczowskiego. O Henryku Maruszczaku piszę w innym miejscu. Tu słów kilka o Jasiu Morawskim. Był z naszego roku studiów. Szybko zrobił doktorat na temat trzeciorzędu, ale wcześniej, zaraz po studiach, zaczął pracę w Zakładzie Geologii UMCS, jeszcze pod kierunkiem prof. Czesława Pachuckiego z Wilna. Był zawsze wesoły i pogodnie patrzył na świat, co wówczas bardzo mi odpowiadało. Po śmierci swego szefa w 1966 roku został kierownikiem zakładu. Zmarł wcześniej, nagle w 1990 roku. Był dobrym kolegą. Próbował uczyć mnie łowić raki w Tyśmienicy i Piwonii w czasie licznych wypraw w terenie, ale nic z tego nie wyszło. Dowiedziałem się, że bardzo lubił je jako specjalny przysmak, ja natomiast tego świństwa nie mogłem tknąć. Podobnie jak kozucha na mleku i skwarek. Tę kulinarną „wadę” wiele osób później ze zrozumieniem mi wybaczało.

ZACZEŁO SIĘ OD DZIESIĘCIOBOJU, A SKOŃCZYŁO NA SANATORIUM W ZAKOPANEM

Kiedy zostałem studentem, natychmiast zapisałem się do AZS-u w głębokim przekonaniu, że będę również sportowcem, ba – wybitnym sportowcem! No i geografem. Świetnie pamiętałem przedwojenne osiągnięcia Gierutty w dziesięcioboju. Wybrałem lekkoatletykę i dostałem się w ręce doskonałego trenera. Była jesień 1945 roku, na boisko nie dało się już wychodzić, więc trener zaaplikował nam zimową, morderczą zaprawę w hali. Czuję, że rośnie mi zapał zarówno do geografii, jak i do wyjścia na wiosnę na boisko. No i wreszcie, a był to jeszcze marzec, wyszliśmy na to boisko (było chyba przy gimnazjum Staszica). Okazało się jednak, że musimy przejść badania lekarskie. I stało się: mam gruźlicę prawego płuca. Tragedia dla mnie, ale i dla całej rodziny. Na szczęście mogłem być nadal studentem i, co równie ważne, mogłem nadal pracować u Pani Profesor w Zakładzie Mineralogii i Petrografii.

Rozpoczęła się kuracja. Oczywiście w Zakopanem. W całości prywatnie. Mieszkałem w domu, który w połowie był własnością siostry mego wujka, a leczyłem się u doskonałego wówczas specjalisty w Zakopanem – dr. Ludwika Fiszera. Pamiętam, że mieszkał on w bardzo nowoczesnym domu blisko Krupówek, na ulicy Kościuszki. Znakomity lekarz. Nie wiem jednak, czy on mnie wyleczył i czy byłby w stanie mnie wyleczyć. Choroba robiła swoje. Po kilku wyjazdach, po parę miesięcy każdy, zawiśła nade mną konieczność torakoplastyki. Kończyłem studia, badania terenowe do pracy magisterskiej miałem już za sobą. A tu ten miecz Damoklesa nad głową. Operacja z niepewnym rezultatem i pozostanie w jakimś stopniu kaleką do końca życia. A ja już poczułem smak terenu. Poczuję swobodę wędrówki z mapą w torbie, odżywiania się chlebem i suchą kielbasą, jabłkami, śliwkami i czekoladą (czy była już wówczas „Jedyna”?), wafelkami „Danusia” i innymi smakołykami, o których dziś nikt już nie ma pojęcia. (A może i ktoś ma, bo kilka dni temu kupiłem na Dworcu

Wschodnim w Warszawie „Jedyną”, pełen zdziwienia, że ona jeszcze jest. Jechałem dalej do Lublina, więc romantycznie i bardzo wspominkowo natychmiast całą tę „Jedyną” zjadłem. Czasami łakomstwo nie ma granic i nawet najbardziej romantyczne i dawne wspominki nic tu nie poradzą.)

W mojej opowieści nie jadę jednak dalej do Lublina, ale wracam do mojego Zakopanego i wiszącego nade mną miecza. Trzeba było koniecznie się leczyć, intensywnie i natychmiast. Marzenia o sporcie uległy gwałtownemu oddaleniu. Unikać słońca, unikać większego wysiłku. Na szczęście mogłem nadal pracować, aczkolwiek i praca stała się bardzo szybko iluzją. Przecież należało leczyć się w Zakopanem. Tak powiedział mi lekarz, do którego trafiali wszyscy chorzy studenci. Był nim dr Tadeusz Kielanowski, późniejsza sława, rektor Akademii Medycznej w Lublinie, a następnie w Białymstoku, wówczas doktor przyjmujący w swym maleńkim mieszkaniu w domu na parterze, gdzie na piętrze mieścił się cały Zakład Geografii Fizycznej UMCS, w Lublinie przy ul. Narutowicza 30. Można więc powiedzieć, że do lekarza miałem blisko, a w dodatku doktor Kielanowski nie brał od studentów honorarium. Już taki był. Czy dziś są tacy lekarze? Zapewne są. Tylko trafić na takiego! Kiedy przykładał mi dłoń do pleców, robił to tak, jakby dotykał jakiejś skrzynki pełnej złota, a tam była jedynie groźba dziury w płucach. Ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy, byłem pewien, że wyleczę się, i to szybko. Dziś myślę jednak, że on doskonale wiedział, co mi groziło. Miał zresztą wielu takich pacjentów, ale do każdego podchodził tak, jakby był szczególnym przypadkiem, wymagającym wyjątkowego traktowania. Taki był też dr Ludwik Fiszer. Nie zapytam, czy dziś są tacy, bo wiem, że są. Taka właśnie pani doktor opiekuje się mną obecnie. Tyle że dolegliwości są inne i warunki leczenia też, no i jakże szeroki zestaw leków. Do wyboru, do koloru. A wówczas? Zakopane i PAS – kilkadziesiąt tabletek dziennie. Spokój, leżak, jedzenie – i piękny widok na Tatry z naszego balkonu. Naszego, bo w pokoju okresowo miałem dwóch współlokatorów. Pamiętam ich doskonale do dziś.

Jeden z nich był bogatym facetem z Poznania, miał jakąś dużą firmę (hurtowa sprzedaż nasion?) i widać było, że ma nabity portfel. Niby leczył się, łykał te kilkadziesiąt pigułek PAS-u dziennie, ale po obiedzie zamiast leżakować, jak to wszyscy robili, zniknął za drzewami drogi na dole i zjawiał się późnym wieczorem albo i następnego dnia bardzo wcześnie. Nie wiem, kiedy on spał. Był bardzo miły w rozmowie. Nazywał się bodajże Szyfter.

Drugi mój współtowarzysz był jego przeciwieństwem. Nazywał się Fidelus i pochodził z Zembrzyc koło Suchej w Beskidach. Pamiętam, jak opowiadał nam, że połowa mieszkańców Zembrzyc nosi takie nazwisko. Nigdy nie miałem okazji tego sprawdzić. Po latach słyszałem, że ksiądz kanonik w Kościele Mariackim w Krakowie nazywa się Fidelus. Nie mam pojęcia, czy ten mój Fidelus był bardzo religijny, ale był na pewno pobożny i z niesmakiem patrzył na nocne wyczyny poznaniaka. Ich rozmowy kończyły się często niemal pyskówką, a ja słuchałem tego z wielkim zdziwieniem i ciekawością, choć później przyzwyczailem się do tego, a nawet obu ich trochę prowokowałem do owych sporów. Bo przecież w takich półsanatoryjnych

warunkach życie było nudnawe. Trzeba było zatem samemu organizować atrakcje, choćby tego typu. Dziś powiedziałbym, że było to draństwo. Ale wtedy? Zresztą ów towarzysz mojej niedoli, pan Fidelus, miał jedną wielką zaletę, mianowicie zaczął ze mną grywać w szachy. Początkowo był ode mnie lepszy, ale wkrótce zaczynałem go pokonywać ku wielkiej satysfakcji poznaniaka. Był on bowiem trochę załamany, kiedy Fidelus mnie początkowo ogrywał. Tym większa była jego radość, kiedy w końcu ja zacząłem wygrywać. Z tego powodu poznaniak zaprosił mnie kiedyś na eskapadę do Zakopanego, argumentując, że zna miejsce, gdzie można dobrze zjeść i jeszcze lepiej napić się. Zdecydowanie odmówiłem. Dopiero po latach dowiedziałem się, gdzie w Zakopanem można to robić skutecznie, wygodnie, tyle że drogo. Ale kiedy ma się pieniądze? A był to czas, kiedy je miałem.

Moja kuracja posuwała się bardzo powoli. Trwała właściwie przez całe studia, choć z każdym rokiem było lepiej, albo wydawało mi się, że jest lepiej. Przecież żyłem – mniej więcej normalnie funkcjonowałem – więc o co chodzi? Rentgen był jednak bezlitosny. Na ostatnim roku studiów okazało się, że musi być operacja, o której wspomniałem wyżej, a przed nią porządna kuracja w normalnym sanatorium. Nigdy wcześniej w takim nie byłem. Dostałem skierowanie do słynnego sanatorium w Zakopanem – Sanatorium Akademickiego. Zjawiłem się tam dorożką, w niedzielne popołudnie, późnym latem. Miałem ze sobą wielką walizkę. Wsiadłem pełen ciekawości, jak to będzie. Wszedłem do wielkiego holu, rozejrzałem się dokoła: cisza, nic, nikogo. W portierni – nikogo, w bocznych korytarzach – nikogo. Usiadłem i spokojnie czekałem jeszcze jakiś czas w nadziei, że ktoś się pojawi. Potem nacisnąłem kilka klamek. Wszystko pozamykane. Uznałem więc, że ze spokojnym sumieniem mogę opuścić to wielkie, niegościnne gmaszysko. Z tą wielką walizą powoli wyszedłem, oglądając się dokoła – nic, nikogo. Potem coraz szybciej i szybciej do drogi i tą drogą do góry, przez potok, potem do góry i koło Mirka (miejscowi wiedzą, o co chodzi) do ulicy Witkiewicza i znowu do góry i do dworca. Uciekałem tak szybko, że nawet ta ogromna waliza stała się nagle bardzo lekka.

Decyzja, wówczas podszyta strachem, wpłynęła na całe moje życie. Unikałem operacji, która zrobiłaby ze mnie w jakimś stopniu kalekę. Skutecznie wyleczyłem się w inny sposób, do dziś do końca nie wiem jaki. Ale choroba przegrała, a ja wygrałem zdrowie i życie. Tyle tylko że wówczas tego nie wiedziałem. Tego wielkiego pustego holu w Sanatorium Akademickim nigdy nie zapomnę. Ta cisza, ten spokój i żywego człowieka dokoła. Na szczęście nigdy moja noga już tam nie stanęła. Znacznie później znów zrobiłem sobie prześwietlenie i okazało się, że już więcej na zastrzyki do Zakopanego nie muszę jeździć. A kiedy zrobiłem duży rentgen w Krakowie i przeczytałem jego opis, poczułem wielką ulgę, zaszedłem do Kościoła Mariackiego, a potem do pobliskiego Noworola w Sukiennicach. Kraków wydał mi się piękny jak nigdy. Tak też uważam do dziś i do Noworola zachodzę przy każdej okazji, jeśli mi tylko czas pozwala. Ujrzałem nagle przed sobą piękną i czystą przyszłość, zwłaszcza że niedługo potem miałem ślub i obietnicę stałej pracy na uczelni w Lublinie. Wówczas byłem na pewno szczęśliwy!

POMYŁKA PRZY KOLACJI

Było to dawno, bardzo dawno. Jeden z pierwszych powojennych, ogólnopolskich zjazdów Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Rozpoczął się w Toruniu, a zakończył w Szczecinie. Z Lublina było wielu studentów. Wszyscy jechaliśmy do Torunia jak na wielką przygodę, by poznać coś zupełnie nowego. Wszyscy w przekonaniu, że jedziemy już jako geografowie. I to przekonanie nas łączyło. Było nam po prostu dobrze. Z tego zjazdu niewiele pamiętam. W Toruniu jakiś budynek nowoczesny w swej zewnętrznej architekturze. Mnóstwo długich, wąskich okien, pooddzielanych równie wąskimi słupami. Było to miejsce obrad. Pamiętam też, że potem jechaliśmy pociągiem całą noc, ale rano, skoro świt, gdzieś w szczerym polu (dziś sądzę, że było to za Piłą, w stronę Krzyża) wysiedliśmy wszyscy i prof. Rajmund Galon zaczął objaśniać to, co było widać, i to, czego widać nie było. Bo nie mogło być widać, jako że działo się to tysiące lat temu. Pamiętam też doskonale, że nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Nie przeszkadzało mi to jednak w żywym, a nawet bardzo żywym odbiorze tego, co działo się wówczas w ogóle. Nie byłem w tym odosobniony. Zapamiętałem jednak wtedy takie słowa, jak *sandr* czy *morena*, choć wówczas nic one dla mnie nie znaczyły albo prawie nic. Przecież z ówczesnych objaśnień Profesora musiało coś we mnie pozostać. Jego osoba w każdym razie. I choć później widywałem go często, to jego obraz – stojącego niby z nami razem, ale właściwie to zupełnie osobno, gdzieś wysoko i daleko, mówiącego głośno, powoli, pokazującego wokół rękami coś, czego ja sam nie byłem w stanie ani dojrzeć, ani tym bardziej zrozumieć – pozostał mi do dziś w pamięci.

Po przyjeździe do Szczecina była uroczysta kolacja. Znaleźliśmy się wszyscy w wielkiej restauracji. Zasiadliśmy przy zestawionych stołach. My, studenci z Lublina, przy jednym wielkim stole razem. Blisko zasiadła profesura, też wszyscy razem. W pewnej chwili podszedł do mnie główny organizator szczecińskiej części zjazdu mgr Jerzy Brinken, pochylił się nade mną i szeptem powiedział: „Panie docencie, czekamy”. Nie byłem pewien, do kogo mówi te słowa, bo przecież żadnego docenta przy naszym stole nie było, odpowiedziałem więc krótko: „Dobrze, dobrze”, pochłonięty rozmową z kolegami i koleżankami przy stole. Jednakże po paru minutach tenże pan znowu pochylił się i szepnął mi do ucha: „Panie docencie, czekamy” i odszedł. Ja rozmawiałem dalej. Nie zastanawiałem się zupełnie, kto i na kogo czeka. Ale pan Brinken nie dał mi spokoju i po raz kolejny pochylił się do mego ucha, mówiąc to, co wcześniej. Wtedy jednak odwróciłem się do niego, zobaczyłem zupełnie zaskoczony wyraz jego twarzy i usłyszałem słowa: „Ach, przepraszam bardzo, sądziłem, że to pan docent Krygowski”, i gwałtownie zniknął. Zdałem sobie sprawę z tej pomyłki i z mego bardzo niewłaściwego zachowania się wcześniej. Powiedziałem coś głośno, krytycznie na swój temat. Koleżanki mnie uspokoiły, że przecież mogę być dumny z podobieństwa do docenta Krygowskiego – taki przystojny!

Nic dziwnego, że scenę tę zapamiętałem do dziś, oprócz oczywiście ogromnej ilości komarów, jakie wówczas napadały chmurami na każdego, kto pojawił się na

ulicy. Takiej ilości komarów tak napastliwych nie spotkałem później nigdy, może z wyjątkiem Surgutu nad rzeką Ob, którą płynęliśmy około dwóch tygodni aż po Salechard.

KOCHANY JASIO!

Kochany Jasio! Był kochany, bo czyż ktoś mógłby go nie kochać? Była jesień 1945 roku. Czasy jeszcze straszne, ale już pełne nadziei. Przejęty początkiem studiów widziałem, jak co parę dni pojawia się nowy student na naszym roku. A to pełen energii kapitan Ludowego Wojska Polskiego wciąż jeszcze w mundurze, a to kobieta o zniszczonej twarzy, a to kolega, znany mi jeszcze z lat wojny, wyjątkowy i bardzo zdolny, a to wreszcie skromna blondynka w pastelowych kolorach. No i on – Jasio, wciąż pałący, szczęśliwy i mówiący o Oświęcimiu! Zaczynamy rozmowę o pogodzie, a po chwili on o Oświęcimiu; zaczynamy o siatkach geograficznych, a on o Oświęcimiu; zaczynamy o obiedzie z małżonkami w jadalni prowadzonej przez siostry zakonne, a on o Oświęcimiu! Inaczej nie potrafił żyć. Jasio! Było nas kilkanaście osób na roku. Chyba trzynastu ukończyło studia. Trzech z nich zostało profesorami, a jeszcze jeden zrobił habilitację. Jednym z tych trzech był właśnie Jasio. Goniący wciąż za groszem. Romantyczny, ale zawsze stojący mocno na ziemi. Musiał stać mocno! Cztery córki i syn oraz niepracująca żona. No bo jakże mogła w takiej sytuacji pracować. Najpierw przez kilka lat byliśmy razem na etatach asystenckich w Zakładzie Mineralogii i Petrografii. Zaczęliśmy tam pracę równocześnie ze studiami. To były czasy – prawda? Jasio wciąż myślał o Śląsku. Tam urodził się i mieszkał do wojny. Stamtąd do Oświęcimia zabrali go Niemcy. Szczęśliwie obóz przeżył, ale ślad tego przeżycia pozostał w nim na zawsze. Typowy Ślązak. Pykał fajeczkę, hodował kaktusy, które niestety prawie nigdy nie kwitły, no i pielęgnował rybki w akwarium. Egzaminował, ale patrzył na te rybki. Powoli nabijał fajkę, dając – jak mówił – w ten sposób czas studentom na przygotowanie odpowiedzi. Był bardzo pobłażliwy wobec studentów, aż do czasu, gdy go ktoś pozbawiał tej pobłażliwości swą kompletną niewiedzą. Wówczas denerwował się, że egzaminowany student robi mu krzywdę, narażając na postawienie oceny niedostatecznej. Tak wychowała go nasza szefowa, Pani Profesor Maria Turnau-Morawska. Anioł nie kobieta.

Przeżyłem z nim wiele w terenie. Sypialiśmy gdzieś pod Włodawą w kurnej chacie. Topił się na moich oczach w Bugu, jakże wówczas strzeżonej rzece granicznej. Uratował mu wówczas życie kierowca mego służbowego wozu. Nie był zupełnie sprawny, po wypadku miał jedną nogę krótszą. Jak on Jasia wyłowił z tej granicy? Tego nigdy nie zrozumieć. Potem Jasio był przez wiele godzin wystraszony. Wymógł na nas, że Adeli – jego żonie, nic nie powiemy o tym wypadku. Nie wiem, czy powiedział jej sam o tym kiedykolwiek. Pod koniec lat czterdziestych zgarnęli go w terenie, gdzieś za Włodawą, leśni ludzie, jak to wówczas się mawiało. Przetrzymali tydzień w ziemiance, głęboko w lasach, myśląc, że to jakiś ubowiec. Po to – ma-

wiał – przeżyłem całe lata oświęcimskie, by wreszcie zginąć na wolnej od Niemców ziemi? Przyjechał wówczas do niego na wizytację terenową dr Edward Rühle, jeden z ówczesnych naszych chlebodawców. Przyjeżdża, a Jasia na kwaterze nie ma już od kilku dni. Nim go wypuścili, doktor pojechał dalej, do mnie – do Hrubieszowa, wyraźnie zadowolony, że nikt mnie nie uprowadził... Takie to były czasy.

W terenie jedliśmy wówczas co popadło, wielkiego wyboru nie było, a właściwie – w ogóle go nie było. Jasio miał koński żołądek, mimo to często cierpiał na zatrucie. Nic dziwnego – brukiew wyrwana z pola, kwaśne mleko na kwaterze czy jajka wypijane na surowo. Niby dobre jedzenie, ale jaki melanz! Ja sam w terenie zjadałem się czekoladą, moją ulubioną i jedyną – „Jedyną”.

Wreszcie po latach dostałem pracę w powstającym właśnie Uniwersytecie Śląskim. Zostałem profesorem. Nie był jednak do końca zadowolony. Przeniósł się na Śląsk, ale dom i pracę miał w Sosnowcu, a Sosnowiec to nie Śląsk. Wiele lat to przeżywał i zawsze mi o tym mówił, kiedy spotkaliśmy się. A spotykaliśmy się coraz rzadziej. Mało wyjeżdżał i mało podróżował naukowo. Mimo że to tylko Zagłębie, zadomowił się tam mocno. Na pewno lepiej czuł się jako pedagog. Z kaktusów, fajki i rybek nie zrezygnował do końca. I koniec nadszedł. Byłem na pogrzebie. Powiedziałem kilka słów o tym, jaki był prywatnie. Byłem wzruszony. Tytu znajomych, cała rodzina Jasia, a ponadto wielu oświęcimiaków. Często o nim myślę i jestem przekonany, że Profesor Jan Trembaczowski (1920–1998) dobrze zapisał się w pamięci wszystkich tych, z którymi się zetknął. Na taką dobrą pamięć sobie zasłużył, między innymi właśnie swą dobrocią.

MOJA PIERWSZA SZEFOWA

Jaś nie musiał mnie namawiać. Poszedłem do pokoju Pani Profesor natychmiast i po chwili, nie mając jeszcze indeksu studenta geografii, dowiedziałem się, że jestem zastępcą asystenta w Zakładzie Mineralogii i Petrografii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Mając w kieszeni otrzymany przed kilkoma miesiącami dyplom technika drogowego, jako zastępcą asystenta dostałem do wykonania sporo prac kreślarskich. Były to plansze do wykładów i ćwiczeń.

Później kleiłem modele sieci krystalograficznej. Były potrzebne do ćwiczeń. Po nich przysła kolej na rysowanie z mikroskopu obrazu szlifów różnych skał do artykułów przygotowywanych do druku przez Panią Profesor. Odbitki tych artykułów, zawsze z piękną dedykacją autorki, mam do tej pory. Chyba rysowałem nieźle, bo wkrótce miałem pełno propozycji od różnych autorów. Profesorowi Mydlarskiemu rysowałem czaszki, pani doc. Wandzie Stęślickiej – małpy, albo dokładniej małpiatki. Od profesorów Józefa Gajka i Jana Czekanowskiego też dostawałem zlecenia, w tym jedno znaczące – wyrysowania map do monografii językowej świata pisanej przez prof. Tadeusza Milewskiego z Krakowa. Po wykonaniu części tych map podniosłem stawkę. Nie zgodził się na nią prof. Gajek. Pamiętam, jak rozumiejąc mnie, dłuższy

czas uspokajał go Czekanowski: „Józiu, zapłać mu tyle, ile chce! Biedny student, gdzie ja teraz będę szukał kogo innego?” Ale Gajek był uparty i nie zrezygnował. Ja też nie ustąpiłem. Mapy skończył ktoś z Krakowa i w latach 1947–1948 ukazało się dwutomowe dzieło *Zarys językoznawstwa ogólnego*.

Wkrótce jednak zacząłem żałować swej decyzji, ale było już za późno. Dziś widzę, z jakimi sławami miałem okazję zetknąć się w mych studenckich latach – Czekanowski, Mydlarski. I to nie jako student z mistrzami, ale na zupełnie innej płaszczyźnie. Może właśnie dlatego tak to dokładnie pamiętam, ich sylwetki, sposób wypowiedzania się.

Pewnego dnia doc. Stęślicka poprosiła, abym po pracy zajrzał do jej gabinetu. Najpierw patrzyła na mnie bardzo długo taksującym spojrzeniem. Poczułem się niepewnie. Po chwili poprosiła, abym zdjął koszulę (było lato). I znowu zaczęła mnie oglądać, z przodu, z tyłu i z boku. Później miałem zdjąć spodnie, skarpetki i buty. Zrobiłem to, ale jako dwudziestoletni chłopak poczułem wielką groźbę wiszącą nad moją głową, zwłaszcza że nic się nie działo. A ona w długim milczeniu patrzyła i patrzyła. I chodziła wokół mnie. Jak myśliwy wokół upolowanej zwierzyny. Było mi głupio i nie wiedziałem, co mam robić. Wreszcie odezwała się: „Proszę stanąć na tej wadze. Muszę pana zważyć i pomierzyć”. Wszystko prysło. Uprzytomniłem sobie nagle, gdzie jestem i do czego jestem jej potrzebny. Odetchnąłem!

Wiele lat później spotkałem ją we Wrocławiu w gabinecie prof. Alfreda Jahna. Opowiedziałem jej całe zdarzenie. Nic nie pamiętała. To zupełnie oczywiste. Powiedziała tylko, że mierzyła wówczas każdego, kogo popadło. Zbierała materiały do pracy naukowej.

Miało być o mojej pierwszej szefowej Pani Profesor Marii Turnau-Morawskiej... Była to kobieta anioł. Czuję to od pierwszej chwili, kiedy ją spotkałem – zawsze życzliwa, ale z minimalnym dystansem. Uczyla nas języków obcych, kultury bycia, zachowania się, rozumienia sztuki, rozumienia petrografii i mineralogii, techniki posługiwania się mikroskopem i wielu innych bardziej lub mniej potrzebnych umiejętności. Była uczoną, ale w równym stopniu była też artystką. Niezwykle delikatna w sposobie bycia i w stosunku do studentów. Nie dopuszczała myśli, że student może czegoś nie wiedzieć i na wszelki wypadek natychmiast po zadaniu pytania sama na nie odpowiadała. Wyjątkowa osoba! Dziś takich już nie ma. O Pani Profesor mam wiele wspomnień. Chyba najczęściej ze wspólnych wypraw tatrzańskich, kiedy to objaśniała nam tajemnice tatrzytu i permotriasu na przełęczach Tatr Zachodnich. Zawsze byłem tam z Jasiem Trembaczkowskim. Ale przynajmniej dwa razy był z nami również prof. Jahn. Takich dni nie zapomina się nigdy. Chodziliśmy tam, gdzie w górach było czerwono pod nogami, tzn. po przełęczach Tatr Zachodnich, daleko, ale niezbyt stromo. W góry braliśmy, tzn. Jasio i ja, jedzenie i picie, ale picie nie znaczyło wcale wodę. Z powrotem zawsze było pełno kamieni, przepraszam – zlepieńców permotriasowych. W Zakładzie brat Jasia, Romek, robił z tego szlify (teraz mówi się cienkie płytki, a może i jeszcze inaczej), a ja rysowałem ich obraz pod mikroskopem. Pani Profesor wykonywała resztę pracy i była publikacją. Ja dostawałem odbitkę z pięknym po-

dziękowaniem, mam ich do tej pory kilka. Dedykacja prof. Marii Turnau-Morawskiej sprzed sześćdziesięciu lat, pierwszego kierownika Zakładu Mineralogii i Petrografii UMCS, dziś to powinno się liczyć. Powinno – ale... Sam nie wiem, co z tym zrobić. Może ktoś podpowie? Do muzeum? Nie ma takiego! A nawet gdyby, to czy przyjmą? Coś powinienem z tym zrobić, ale co? Niby drobiazg, ale nie daje spokoju.

Do pięknych dni zaliczam również te, kiedy Pani Profesor uczyła nas czytania obrazu pod mikroskopem. Kiedyś zostawiła mnie przy obrazie kolorowego szlifu. Widok był zachwycający, ale tylko tyle. Był późny poranek, ja już byłem jednak zmęczony, bo wcześniej, od świtu niemal, trenowałem na boisku dziesięciobój. Trening był morderczy, nic dziwnego więc, że przy mikroskopie momentalnie zasnąłem. Obudziłem się z bólu oka, które miałem wbite w okular mikroskopu. Pani Profesor stała nade mną. Musiała szybko ocenić sytuację, ponieważ nigdy później nie próbowała uczyć mnie czegokolwiek przy mikroskopie. Miała już wówczas bardziej pojętnego ucznia. Był nim nowy „nabytek” w zakładzie – Kazio Łydka, przyszły profesor na Wydziale Geologii UW i bodajże w PAN. Byłem wtedy przekonany, że interesuje go tylko to, co widzi pod mikroskopem. Ale może myliłem się. Do tej pory tego nie wiem i zapewne nie dowiem się już nigdy. Wówczas jednak był objawieniem!

MOJA WYPRAWA PO SPRZĘT NARCIARSKI NA PLAC NANKIERA DO WROCŁAWIA

Marzyłem wciąż o narciarstwie zjazdowym. Kwaterę w Zakopanem miałem zapewnioną. Należało tylko zaopatrzyć się w sprzęt. W Lublinie za grosze kupiłem narty. Była to kompletna tandeta. Wiązała jakieś starożytne. Kijki dobrałem bambusowe, grube, ale powiedziałem sobie, że przynajmniej nie trzasań, więc od początku byłem nimi zachwycony. Kłopot był z butami. Usłyszałem gdzieś, że wszystko można kupić na placu Nankiera we Wrocławiu, tuż przy jakimś dworcu PKP, blisko Odry. Pojechałem tam. Podróż była z przygodami. Jechałem z Lublina całą noc i jeszcze dłużej. Pociąg, gdzieś koło Zagnańska, jadąc pod górę, ciężko sapał, zwalniał, wagony trzeszczały coraz bardziej, aż wreszcie stanął. Nic wielkiego. Tyle tylko że nie mógł ruszyć do przodu, bo za każdą próbą ruszał do tyłu. Ja sam doszedłem do wniosku, że chyba w ogóle pojechał złą trasą, a maszynista nie mógł zdecydować, co robić – jechać dalej czy wrócić do Skarżyska. W wagonach pełno ludzi, niepokój narastał, próby te trwać musiały już dłuższy czas, bo w końcu zrobiło się widno na tyle, że mogliśmy zobaczyć, iż stoimy na ostrym łuku i droga przed nami pnie się stromo pod górą. Widok był piękny: szeroka, rozległa panorama i nisko nad horyzontem wschodzące czerwonawe słońce. Jakoś jednak musieliśmy ruszyć, bo na wrocławskim placu znalazłem się dostatecznie wcześnie, aby kupić buty. Dziś zapewne nikt by nie powiedział, że były to buty narciarskie. Ale wówczas byłem nimi zachwycony. Służyły mi bardzo długo, ale już jako dobre buty turystyczne do wypraw w Tatry i Karpaty, a także jako buty do pracy terenowej.

TATRY, INNE GÓRY I RÓŻNI LUDZIE

Kiedy poczułem się nieco mocniej, doszedłem do wniosku, że mogę zacząć chodzenie po Tatrach. Początkowo z mymi znajomymi jeszcze z Trawnik, a więc z Leszkiem i Mietkiem Krawczykami, z Danką Krawczyk i jej znajomymi, o czym niżej. Jednym z nich był Jurek Honowski. Po kilku latach zorientowałem się, jak do- brym i powszechnie znanym był on taternikiem. Jeszcze później dowiedziałem się, że osiadł gdzieś w Gorcach jako leśnik. Nigdy go więcej nie spotkałem. A najpóźniej dowiedziałem się, że jego żona była (była – bo zmarła w 2009 roku) lingwistką, członkiem PAN i PAU. Kompan z niego był dobry. Jego dwie ciocie, a może tylko jedna, zginęły na Zamarłej Turni na początku okresu międzywojennego. Powiedział mi to w czasie nielicznych, ale owocnych dla mnie wędrówek po Tatrach. Sam też o tym przeczytałem w „Wierchach”, których komplet kupiłem kiedyś w antykwariacie krakowskim. Kupiłem z miłości do gór, a nie do „Wierchów”. Choć do wierchów też, są to przecież góry.

Moje wędrówki po Tatrach były przeważnie samotne. Chciałem jakoś odrobić te czasy, kiedy mogłem na góry tylko patrzeć. Samotne, długie spacerzy, bo takie one były, dawały mi wielką radość. Były rzeczywiście bardzo długie, np. na Wołowiec i z powrotem do Zakopanego w jeden dzień. Traktowałem to już nawet nieco sportowo. Albo dwukrotne wejście od Kościeliskiej na Czerwone Wierchy tą samą drogą tego samego dnia. Dziś powiedziałbym – czysta głupota. Ale wówczas? Byłem przecież taki młody i miałem te góry zawsze przed sobą. Czyste i piękne, nawet w najgorszą pogodę. A nawet jeśli taka zdarzała się i żadnych gór nie było widać, to wiadomo było, że góry są, że już jutro musi być lepiej. I było lepiej.

Były też i wyprawy zbiorowe. Kiedyś wybraliśmy się grupą kilkusobową na parę dni do Morskiego Oka – przez Zawrat, z noclegiem w Pięciu Stawach. Już blisko schroniska zaczęło lać jak z cebra. Nic nie było widać, znaki kiepskie, pełno ścieżek w różnych kierunkach. Tak jak to zwykle bywa w pobliżu schroniska. Niektórzy byli już nieco podmęczeni i nie chcieli iść dalej. Postanowiliśmy więc urządzić nocleg w gęstej wysokiej kosówce. Aby przygotować miękkie posłanie, trzeba było jej dużo ściąć. Mieliliśmy porządne nożyce, więc cięliśmy na potęgę. Kosówka była jednak bardzo twarda, powiedziałbym – żyłasta. Nagle nie wiadomo skąd stanął przed nami, a właściwie ponad nami, jakiś niewysoki pan, w stroju turystycznym i w płaszczu ochronnym od deszczu i zaczął coś wykrzykiwać. Szum deszczu skutecznie tłumił jego coraz głośniejsze słowa, wreszcie zrozumieliśmy, że ostro nam wymyśla za ścinanie kosówki. Ja wiedziałem, że nie wolno, ale też uznałem, że nie ma innego wyjścia. A pan co drugie słowo powtarzał „nieprawdaż?”. Nie mogłem dojrzeć twarzy, ale widać było jego spiczastą bródkę. Nakrzyczał, nakrzyczał, ale drogę do schroniska pokazał, z wyraźnym niesmakiem, że niby dlaczego drogi tej nie znamy, skoro chodzimy po górach. Faktycznie, do schroniska było nie dalej niż dwieście metrów. Tego pana pamiętam doskonale, tyle że nie tylko z tamtego zdarzenia. Otóż kiedyś w Instytucie (Państwowym Instytucie Geologicznym), a było to ponad pół wieku temu,

miałem jakąś służbową sprawę do ówczesnego naczelnego redaktora Wydawnictw Geologicznych. Zobaczyłem starszego, raczej niewysokiego pana z krótką brodą, co przyjąłem raczej obojętnie. Po kilku jednak słowach, wśród których co drugie było „nieprawdaż”, przypomniała mi się nagle ta zlewa w Dolinie Pięciu Stawów, ta nieszczęsna kosówka, nasze zmęczenie, no i ten pan. Był to wielki redaktor, Profesor Stanisław Krajewski, bardzo znana wówczas postać w geologii polskiej. Zimno zrobiło mi się na plecach, wówczas w jego gabinecie, ale opanowałem się, tłumacząc sobie, że przecież on na pewno tego wszystkiego nie pamięta i w chwili tej rozmowy mnie nie rozpozna. Tak też się stało, ale spotkania tego nigdy nie zapomnę.

Może kilka słów o grupie, która tak mokła, schodząc do Pięciu Stawów. Była w niej Danka Krawczykówna, nasza koleżanka jeszcze z Trawnik. Gdzieś nabawiła się gruźlicy i rodzice jej zdecydowali się sprzedać wszystko, co mieli w Trawnikach, i wkrótce po wojnie przenieść się do Zakopanego. Tam kupili niewykończony dom od rodziny któregoś z Bachledów u stóp Gubałówki na Kamieńcu. Czasem i ja mieszkalem tam jako kuracjusz i czułem się wówczas niemal jak przed laty w Trawnikach. Byli też na tej wyprawie tatrzańskiej dwaj stryjeczni bracia Danki, Leszek i Mietek Krawczykowie (o nich za chwilę) oraz dwie kuzynki Danki spod Warszawy, bodajże z Milanówka. Takie już nie dziewczynki, ale jeszcze nie panny, albo lepiej: i jedne, i drugie jednocześnie. To straszny wiek. Taka była ta grupa wycieczkowa.

Po wojnie Krawczykowie po studiach politechnicznych zostali inżynierami, jeden, Leszek, zamieszkał we Wrocławiu, gdzie przez wiele lat spokojnie żył. Choć nie wiem, czy tak bardzo spokojnie, bo pod zmienionym nazwiskiem. Nazywał się bowiem Piasecki, Leszek Piasecki. Jego żona stała się później znaną postacią w tym mieście, została bowiem wiceprzewodniczącą (a może i przewodniczącą) Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego. Była to wówczas bardzo odpowiedzialna funkcja, ale i ona sama jako kobieta robiła wielkie wrażenie. Na mnie na pewno. Chyba trzymała biednego Leszka pod pantoflem, bo kiedy odwiedzałem ich we Wrocławiu, był zupełnie innym człowiekiem – łagodnym i cichym. Może trochę dlatego, że miał powody bać się o siebie. Jesienią 1944 roku obaj z Mietkiem musieli iść do wojska. Koszary gdzieś pod gołym niebem w namiotach, zima ostra. Lasy daleko pod Łukowem. Szósta rano, stoją parami, a rozkazy krzyczy po rosyjsku ich dowódca, Rosjanin. Wiem, że Leszek nie znosił ani drylu wojskowego, ani mowy rosyjskiej i zapewne dlatego w pewnej chwili wyskoczył z szeregu, dopadł tego krzyczącego Rosjanina, wyrwał mu pistolet z garści i strzelił do niego. I od razu obaj z Mietkiem w las! Udało im się. Jako przeżyli, choć trudno sobie wyobrazić, jak przeżyli.

Ja nie mogę sobie tego wyobrazić. Widziałem Leszka tylko jeden raz, kiedy w zimie 1944/1945 późnym wieczorem zjawił się u moich wujków na Farbiarskiej w Lublinie, gdzie mieszkalem. Wyglądał strasznie. Poprosił jedynie o możliwość umycia się. O nic go nikt nie pytał. On sam nie mówił nic albo prawie nic. Takie wówczas były czasy, a my, młodzi z Szarych Szeregów, wiedzieliśmy o tym bardzo dobrze. Nie przyjął propozycji przespania się i znikł. To było przerażające, ale prawdziwe. Potem, po latach, gdzieś posłyszałem tę jego historię. Tyle że zmienił nazwisko, no

i usposobienie. I dlatego jego syn nie nazywa się Krawczyk, ale Piasecki, Krzysztof Piasecki, bardzo znany w Polsce satyryk. Ile razy oglądam go w telewizji, tyle razy widzę jego ojca – Leszka Krawczyka z jego najlepszych młodzieńczych, trawnickich, wojennych lat. Najlepszych i wojennych – paradoks, ale jestem przekonany, że tak było. To na pewno były jego dobre lata.

Jego brat Mietek był znanym inżynierem. Mieszkał z żoną i dziećmi w Krakowie, projektował m.in. kolejki linowe. Wiem, że kiedyś projektował taką kolejkę gdzieś w Himalajach – mówił mi, że liczy, iż kiedyś tam pojedzie i zobaczy te Himalaje. Ale nie doczekał. Zmarł na nieuleczalną i dziś chorobę. A Danka mieszka w Zakopanem. Mam z nią kontakt telefoniczny.

OD TATR PRZEZ LAPONIĘ DO... KILKU REFLEKSJI

I takie były moje pierwsze grupowe wyprawy w Tatry ponad 60 lat temu! A dziś? Dziś oglądam w internecie mnóstwo zdjęć z pięknych gór całego świata. Bardzo niewielką ich część poznałem osobiście, ale tylko tych europejskich. Piękne zdjęcia, piękne góry, ale najpiękniejsze te, które udało mi się zobaczyć. Już nie myślę o naszych Karpatach, Tatrach czy Łysogórach, ale o Alpach, Bałkanach czy wreszcie o górach Kaukaz. Najpiękniejsze jednak to Góry Skandynawskie, zwłaszcza daleko na północy, w Laponii. Późnym latem, kiedy jest jeszcze dostatecznie ciepło, a drzewa są kolorowe, na dalekim białym śnieżnym tle daje to niezapomniane kontrasty. Niby może to być wszędzie, ale urzeka tamtejsza pustka, spokojna, budząca zaufanie pustka. Zaufanie, bo wiadomo, że nikt cię nie napadnie, a każdy spotkany na tym bezludziu uśmiechnie się. No właśnie, oglądam to wszystko w internecie, ale nigdy nie żałuję, że gdzieś nie byłem – w Himalajach, Górach Skalistych czy Andach, że nie będę spływał dużym luksusowym statkiem w dół Wołgi koło Wzgórz Żygulewskich – co jest moim marzeniem od dziesięcioleci.

Nie byłem i nigdy nie będę. Nawet w Tatrach. Parę lat temu zmarł mój kolega z Instytutu Geologicznego Stefan Kozłowski. Napisane było, że zmarł w Krynicy. Piękna miejscowość, góry. I co z tego? Pojechał tam i koniec. Właśnie pochowany został na Powązkach. Często o nim myślałem, ale coraz mniej o nim wiedziałem. Bardzo dawno temu spróbowaliśmy się do siebie zbliżyć, prywatnie, towarzysko, ale nic z tego nie wyszło, nawet nie pamiętam dlaczego. Najpewniej z braku czasu. Wszystko dla pracy, czy może lepiej – dla nauki, choć czy na pewno dla nauki? Właściwie nigdy nie pracowałem dla nauki. To jakoś samo przyszło. Skąd i dlaczego? Nie wiem. A przecież wówczas wielu nas takich było. I wszystko samo przychodziło, bez trudu, bez zarwanych nocy, widocznego zmęczenia w oczach – tak po prostu było. I tyle!

I nagle tak się stało, że wielu z nas już nie ma, a ci, co jeszcze żyją, są emerytami, często zgorzkniałymi. Och, wielu takich znam! Albo zrezygnowani, albo jeszcze pracują, albo piszą wspomnienia o sobie i o innych, takich jak oni sami. Ktoś, kto ma za sobą sto, dwieście czy nawet trzysta publikacji, nie może nagle przestać pisać.

Musi pisać – z przyzwyczajenia, dla ćwiczenia umysłu, dla przekonania, że wie coś, czego inni nie wiedzą, i chce się tym podzielić. Uważa, że może to być ważne, że później może o tym zapomnieć – więc pisze.

To, co powyżej napisałem, jest częściowo i o mnie samym. Tyle że chyba nie jestem zgorzkniały, ani smutny, ani rozżalony na wszystkich i na cały świat. Ale być może tylko wydaje mi się, że nie jestem, może w oczach innych właśnie taki jestem. Nie jest to jednak aż tak ważne, aby sobie tym szczególnie zaprzętać głowę. Wracam do tematu. Tematu? A jaki on właściwie jest? Wszystko jedno jaki, wracajmy!

MARKOW I EDELSZTEJN W BRAMIE PRZY ULICY LUBICZ W 1949 ROKU. A TERAZ?

A same studia? Dziś zapytałbym – jak to studia? Poduczyłem się trochę niemieckiego, trochę rosyjskiego, ale tego drugiego nie za wiele, bo uważałem, że znam ten język wystarczająco, aby czuć się swobodnie między Rosjanami i swobodnie czytać, rozumiejąc niemal wszystko, a mam tu na myśli literaturę zawodową. Czytałem zwłaszcza podręczniki, a dostępne były wówczas dwa podręczniki geomorfologii: Edelsztejna i Markowa. Profesor Malicki polecił mi ten drugi. Miał zapewne rację. Później przekonałem się, że K. K. Markow to klasyk rosyjski, a o A. W. Edelsztejnie już wówczas mało kto wiedział. Ciekawe, jak z tym jest obecnie. Może i o Markowie nikt już nie wie? A była to, jak przekonałem się później, postać zupełnie wyjątkowa. Jego samego widziałem kilkakrotnie w Polsce i w Moskwie. Po latach poznałem córkę Profesora. Ona też jest wyjątkową postacią. Wychowanie i sposób bycia po rodzicach – przedrewolucyjne! Specjalizowała się w paleontologii czwartorzędu (drobne gryzonie).

Wracam jednak do tych dwóch podręczników. Otóż woziłem je ze sobą gdzie się dało, zwłaszcza w dłuższą drogę. Miałem te książki, kiedy jeździłem co miesiąc do Zakopanego na zastrzyk. Jak się okazało po latach, był to zastrzyk ze złota. Leczył mnie tym dr Ludwik Csała w Zakopanem. Lekarz ten stał się znany dzięki roli, jaką pełnił w bardzo słynnym przedwojennym procesie Gorgonowej. Nie wiem, co mi ostatecznie pomogło, może wszystko po trochu. Zawsze wracałem z Zakopanego po południu do Krakowa, a z Krakowa nocą do Lublina. Kiedyś właśnie w Krakowie szedłem ulicą Lubicz i dochodziłem właśnie do hotelu, już po kolacji w barze mlecznym (był taki na rogu Lubicz i Plant), kiedy nagle poczułem, że ktoś chwyta mnie z obu stron za łokcie. Słyszę jakiś stanowczy głos, żebym nic nie krzyczał, bo dostanę w mordę i po chwili zostałem zaciągnięty do najbliższej bramy. Niemal w biały dzień. Zorientowałem się, że tych drabów jest przynajmniej pięciu. Nie było rady. Błyskawicznie mnie zrewidowali. Z torby wyciągnęli obie książki. Jedną z nich otworzyli na jakiejś stronie, kazali czytać i od razu tłumaczyć na polski. Zacząłem to robić z wyjątkową przyjemnością, nabierając przekonania, że nic z tego nie rozumiem (a i ja też nie do końca wszystko). Uznali jednak, że się kamufluję i, trzymając mnie

z obu stron bardzo mocno, doprowadzili na posterunek w budynku dworcowym w Krakowie i kazali usiąść. Siedziałem tam parę godzin, a oni biegali, coś między sobą krzyczeli, byli bardzo zdenerwowani, ruch był na tym posterunku niebywały. Po paru godzinach wpadł jakiś niepozorny cywil i powiedział coś w tym rodzaju: Obywatelu komendancie, mamy go! Pomyślałem sobie, że mają mnie, ale też pomyślałem – dlaczego tak późno o tym meldują komuś, kto siedzi od paru godzin w tym samym pokoju co ja. To znaczy, że on już ma mnie od dłuższego czasu! Byłem jednak zbyt wystraszony i zmęczony, by dalej zastanawiać się nad tym, zwłaszcza że po chwili wpadł inny wymizerowany facet i powtórzył: Obywatelu komendancie, mamy go! Potem wszyscy zaczęli cicho rozmawiać i po chwili podszedł do mnie sam komendant i, pokazując mi zdjęcie mężczyzny, powiedział coś w tym rodzaju: Obywatelu, pomyliliśmy się, wzięliśmy was za kogo innego, ale przyznacie, że bardzo do was podobny. Kiwnąłem głową i powiedziałem, że bardzo, choć od razu zobaczyłem, że nikogo mniej do mnie podobnego na świecie nie mogliby znaleźć. Komendant, nie przepraszając mnie, powiedział tylko: Jesteście wolni! Zdążyłem jeszcze na pociąg i przed południem byłem w Lublinie.

Takie było życie w Polsce Ludowej chyba w 1951 roku. A teraz? Przyjeżdżam do Krakowa. PKS-u nie ma przy dworcu PKP. Ubesiaków nie ma, albo może są, ale inaczej działają. Plac przed dworcem pusty, kramów brak, rogalików nie kupisz, baru mlecznego na rogu nie ma. Ale jest przejście podziemne, jest wielki budynek, gdzie wszystko można załatwić, gdzie po 22.00 można kupić nawet żyletki i krem do golenia. Można też spokojnie przejść do hotelu, gdzie PAU zarezerwowała nocleg,



Fot. 2. Józef Edward Mojski w roku 1950. Absolwent geografii lubelskiej

a można nawet iść dalej do pokoi gościnnych PAU, gdzie też można wygodnie wypaść się. I w ogóle można jeszcze wiele innych rzeczy. Tyle że tych zmarnowanych dla całego narodu kilkudziesięciu lat już nikt i nigdy nie wróci! Tyle zmarnowanych lat! Tego jestem pewien, zarówno jeśli idzie o nasz dobrobyt, jak i, co gorsze, o mentalność naszego narodu. I co może najgorsze – my sami do końca nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ile czasu musi upłynąć, aby o wszystkim zapomnieć? Ile czasu i ile pokoleń trzeba?

O STUDIACH, TROCHĘ O SZABROWANIU I JESZCZE MNIEJ O INQUA 1961

Złapałem się na tym, że wciąż chcę pisać o studiach, a piszę o jakichś sprawach pobocznych z czasu moich studiów. Ale przecież i same te studia nie były przeze mnie do końca bardzo serio traktowane. Był to przecież czas Zakopanego; czas pracy w Zakładzie u Pani Profesor Turnau-Morawskiej; czas zarabiania niemałych wówczas, jak na studenta, pieniędzy; częstych wciąż doskoków do skrzypiec; i czas innych jeszcze spraw i zajęć. Wiele z tego zginęło bezpowrotnie w pamięci pod wpływem późniejszych zdarzeń. Ale jeśli trochę pomyślę, to pamięć wraca. Same studia były przecież czymś ogromnie miłym. Nauczyły mnie jednak niewiele, jeśli idzie o zawód, natomiast dobrze do zawodu przygotowały. Najchętniej czytałem publikacje polskie (tych było najmniej), rosyjskie (tych było najwięcej) i niemieckie (te były najtrudniejsze, ale i najciekawsze). UMCS szabrował masowo z Zachodu, tzn. z Ziem (jak to się wówczas pisało) Odzyskanych. Piszę dużą literą, ale tak właśnie się wówczas pisało. Było chyba wtedy Ministerstwo Ziem Odzyskanych, na którego czele stał Gomułka, „Wiesław”. Ano było i on też był. Wiele ludzi szabrowało, wyższe uczelnie również. Ciekaw jestem, ile książek z obecnej biblioteki Zakładu Geografii Fizycznej UMCS znalazło się w Lublinie za sprawą wypraw A. Malickiego, H. Matuszczaka i ile z nich dotrwało do tej pory. Pamiętam, że dorwałem się kiedyś do tomu „Geologische Rundschau” z 1944 roku z obszernym artykułem Juliusa Büdela o peryglacje. Przebrnąłem przez niego z wielkim trudem. Przeczytałem również coś Herberta Louisa. Wiele lat później dowiedziałem się, jak wielkim był on geografem i geomorfologiem. Nic dziwnego, że na początku pokongresowej wycieczki INQUA 1961 w autokarze z Warszawy do Gdańska, kiedy usiadł z żoną jeden rząd przede mną, pomyślałem, czy nie zmienić miejsca. Po chwili coś do mnie powiedział. Ja, bardzo przejęty, odpowiedziałem mu coś po niemiecku i wówczas zaczęła się rozmowa trwająca aż do końca podróży. Zacząłem im objaśniać, co widać po drodze, ale po przejechaniu połowy drogi jego żona powiedziała z pewnym zakłopotaniem, że pochodzi z tych stron i zna je bardzo dobrze. Ostudziło to nieco mój zapał, ale nie zamilkłem zupełnie. W następnych dniach już tylko uśmiechaliśmy się do siebie. Mili, starsi państwo.

Owa droga do Gdańska zakończyła się jednak pouczającym, „etnograficzno-alkoholowym” zdarzeniem. Gdzieś na przodzie autobusu siedziało starsze mał-

żeństwo Finów – prof. X z żoną. Jesteśmy już w Gdańsku, kierowca zatrzymuje się i pyta o drogę do hotelu, kilka osób wysiada dla rozprostowania nóg. Po chwili ruszamy. Wszyscy są? Jedziemy. Okazało się jednak, że nie wszyscy byli. Ów starszy profesor z Finlandii został, po prostu nie wsiadł do autobusu. Zaczęło się szukanie. Zdziwienie, zdenerwowanie pilotów Orbisu. Co się stało? Nie wiadomo. Po chwili jego żona wstaje i mówi coś po cichu, wychodzi z autokaru i idzie gdzieś z pilotem. Zaczyna się czekanie. Nie ma już nie tylko profesora, ale również jego żony, także pilota. Stoimy i czekamy. Ja z ciekawością patrzę na miasto, którego właściwie nie znam. Ślady po wojnie jeszcze widoczne.

Po pewnym czasie cała trójka nadchodzi. Profesor robi wrażenie rozluźnionego i wesołego. Ruszamy do hotelu. Po chwili daje się słyszeć komentarz z przodu: oto profesor nie wytrzymał i zapragnął wpaść do knajpy, aby wypić kielicha. Żona знаła jego skłonności. Zapytała naszego przewodnika o najbliższą knajpę. Nie musieli długo szukać – profesor siedział już w towarzystwie fińskich majtków i pełen radości życia zdrowo z nimi pociągał. Niby wszystko normalne, ale jak on znalazł tak błyskawicznie knajpę, a w niej jak trafił na fińskich marynarzy? Musiał mieć dobrego nosa. Byłem pełen uznania dla tego jego nosa i oczywiście dla samego profesora. Rutyniarz musiał być z niego nie lada. Obce miasto, języka nie znał i tak szybko sobie poradził. Niewątpliwy specjalista, a niby wielki europejski paleobotanik.

O PANU NA CZARNO UBRANYM

Wykłady z geologii. Byłem bardzo ciekawy, co to takiego. Chyba podobne do geografii, bo jedno na „geo” i drugie na „geo”. Pierwsze wrażenie nijakie. Pan docent cały w czerni, w białej koszuli i czarnym krawacie. Takie smutne barwy były wówczas częste, bo przecież był to rok 1945. Wojna ledwo się skończyła. Jedna z naszych koleżanek też zawsze ubierała się na czarno.

Uczęszczaliśmy na wykład z geologii niewielką, ale stałą grupą. Po pewnym czasie docent zaprosił nas do swego mieszkania. Drzwi znajdowały się w tym samym przedpokoju, z którego wchodziło się do sali wykładowej. Docent zajmował dwa pokoje. Od razu zaprowadził nas do drugiego pokoju. Stało tam pianino. Usiadł przy nim i zaczął grać. Byłem tym wszystkim zachwycony, zwłaszcza że dostaliśmy herbatę. No i tak to się zaczęło. Muzyka była wówczas moją pasją. Oczywiście niejedyną. Wzmogło to tylko moje zainteresowanie fortepianem, osobą docenta i całą geologią. Chodziłem wytrwale na jego wykłady, a pod koniec studiów – na geologię Polski. Byliśmy dużą grupą na jego autorskim koncercie w Filharmonii Lubelskiej mieszczącej się w Domu Żołnierza na końcu Krakowskiego Przedmieścia. Grane były tylko jego utwory.

Egzamin z geologii Polski zdawałem kilka tygodni przed obroną pracy magisterskiej. Kilka dni po obronie musiałem już wyjeżdżać do Zakopanego na kolejną kurację. Kolejną, bo przeważającą część studiów (i pracy na etacie zastępcy asystenta

w Zakładzie Mineralogii i Petrografii) spędziłem, kurując się w Zakopanem. Na egzamin poszedłem głęboko przekonany, że go dobrze zdam. I tak się też stało. Docent wyraził to odpowiednimi słowami. Poprosił o indeks i kiedy odkręcał wieczne, jak to się wówczas mówiło, pióro, by wpisać oceny, nie wytrzymałem i pochwaliłem się, że w najbliższych dniach mam egzamin magisterski. Docent zawiesił dłoń z piórem w powietrzu i zapytał o temat pracy, a po chwili o skład komisji egzaminacyjnej. Nim do końca odpowiedziałem, docent skamieniał, pióro zakręcił i schował do kieszeni, indeks zamknął i odsunął od siebie ze słowami, że egzaminu nie zdałem. Dał mi do zrozumienia, że zdumiony jest, iż nie został zaproszony do komisji na mój egzamin.

Byłem zdruzgotany. Do dziś pamiętam wszelkie szczegóły tego zdarzenia i nigdy go nie zapomnę. Pobiegłem z tym wszystkim do prof. Adama Malickiego, u którego robiłem pracę magisterską i który o wszystkim decydował. Sprawa dotarła do dziekana, a bardzo szybko do prorektora. Wszędzie opowiadałem, jak było. Wszyscy mi uwierzyli, czemu dziś, z perspektywy tylu lat i doświadczeń ze studentami, nawet nieco się dziwię. Wówczas jednak byłem tym wszystkim wystraszony i zgnębiony, a ponadto przecież stale chory!

Na szczęście sprawa zakończyła się pomyślnie. Docent nie został członkiem komisji, która mnie egzaminowała. Wszystko odbyło się w przewidzianym terminie i spokojnie wyjechałem do Zakopanego. Docent jeszcze w tym samym roku opuścił Lublin i UMCS. Przeniósł się do Krakowa i tam po latach miałem przyjemność spotkać kilkakrotnie Profesora Konrada Koniora, pracującego, jak ja, w Państwowym Instytucie Geologicznym. Z różnych powodów bardzo mocno zapisał się w mojej pamięci. Bardzo mocno. Ta geologia, ta muzyka! Ach – przecież i ten egzamin! Całe studia na UMCS-ie wspominam z wielkim sentymentem. To były piękne lata!

PACZKA PAPIEROSÓW I ASYMETRIA ZBOCZY W SULOWIE

Pamiętam i nigdy tego nie zapomnę: mój pierwszy wyjazd w teren, by zebrać materiały do pracy magisterskiej. Przed wyjazdem była jednak rozmowa z opiekunem pracy prof. Adamem Malickim. Zapamiętałem z niej jedynie ostatnie wskazówki, jakich mi udzielił: „Jedzie pan w zupełnie nieznane miejsca. Nic pan nie wie o tym, gdzie znajdują się odsłonięcia i co w nich widać. Musi więc pan pociągnąć mieszkańców za język. Zawsze coś powiedzą, jeśli się ich poczęstuje papierosem, a później ogniem”. Pierwszy raz więc kupiłem papierosy i zapalki. Pierwszy raz w życiu. I ostatni.

Wysiadłem w Szstarce za Kraśnikiem i przez pola dotarłem do Sulowa. Profesor pouczył mnie, że najlepiej zaczynać od źródeł Bystrzycy. Założyłem sobie, że są one gdzieś właśnie koło Sulowa. Na mapie nie było to jasno przedstawione. Dotarłem do doliny i mój zachwyt nad nią przeważył nad zainteresowaniami zawodowymi – bardzo szybko i zdecydowanie. Dopiero po dłuższym czasie przypomniałem sobie, że mam przecież papierosy i zapalki i że trzeba z nimi coś zrobić. Pytać o odsłonięcia. Tyle tylko, że po co. I bez nich było widać, że zbocze bardziej strome zbudowane

jest z kredy, a to drugie, bardzo łagodne, niemal płaskie, z piasku i innych bliżej mi nieznanymi albo w ogóle nieznanymi utworów. Na malutkim, ale głębokim dnie doliny płynie coś, co chyba jest Bystrzycą. Poza tym pusto wszędzie, głucho wszędzie. Pomyślałem sobie, że te papierosy, no i zapalki, zachowam chyba aż do ujścia Bystrzycy do Wieprza.

Ktoś jednak napatoczył się. Rzuciłem się na niego szczęśliwy, że wreszcie będzie można kogoś poczęstować. Zrobiłem to najszybciej, jak mogłem. Nawet nie zdziwił się, że został poczęstowany, a w dodatku przez zupełnie mu nieznaną osobę. Szybko nawiązaliśmy kontakt. Po kilku moich pytaniach pojał, że na pewno jestem klasyfikatorem gruntów i zaczął narzekać, że tu wszędzie dookoła nic nie ma, tylko piasek i kamienie. Poniekąd miał rację, ale nie powiedziałem mu tego głośno. Pozwoliłem mu się wygadać. I taką zasadę przyjmowałem później w terenie, a nawet nie tylko w terenie i nie tylko wobec mężczyzn. Dopiero po wielu latach zacząłem mówić sam, jako pierwszy, a nawet przeszkadzać innym. Ale wówczas wiedziałem już, że przynajmniej jakaś część z obecnych chyba mnie słyszy i słucha. I wówczas rozumiałem, co znaczy dobitnie wypowiedziane słowo i dobrze sformułowane zdanie, jedno, dwa, nie za wiele. Nie zawsze słuchacze przyznają ci rację, ale przynajmniej uważnie wysłuchają i być może – zapamiętają.

Wróćmy jednak do papierosów. Rozmawialiśmy długo, najmniej o odsłonięciach. Mężczyzna wypalił całą paczkę, dałem mu zapalki i powoli wróciłem do najbliższej stacji kolejowej. Tam siadłem na ławeczce i zanotowałem wrażenia, bo przecież nie obserwacje fachowe z całego dnia. Czuję się niemal dumny z tego, że jednego dnia uzyskałem tyle informacji i... straciłem wszystkie papierosy. Tyle że żadnego odsłonięcia nie widziałem. Ale Profesor o nie w ogóle nie pytał, ani następnego dnia, ani potem. Interesowały go zupełnie inne sprawy. A przecież tak dobrze się spisałem. No cóż, każdy ma inne zainteresowania, bywa i tak. Z tego pierwszego dnia wyciągnąłem dla siebie naukę: nigdy papierosów przy sobie w terenie i nigdy nie zaczepiać mieszkańców, liczyć na mapę i na siebie.

W czasie pieszych wędrówek asymetrię zboczy dolinnych Bystrzycy poznałem na całej długości tej rzeki. Znajomość literatury (lata 1948–1949) pozwalała na stwierdzenie jej zależności, czy może uwarunkowań, od zmian klimatu. I tak to napisałem. I tak też zostało to wydrukowane. Przeszło bez echa, poza kilkoma wzmiankami w innych publikacjach. Jedynie Profesor Jerzy Kondracki zainteresował się wówczas bliżej tym zagadnieniem, a właściwie mną, kiedy zapytał przy jakiejś okazji w Lublinie swego kolegę, a mego opiekuna – o Mojskiego. Siedziałem wówczas na sali, prof. Malicki wywołał mnie i zostałem przedstawiony prof. Kondrackiemu. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Pozostało przekonanie, jak ważne dla początkującego adepta jest zainteresowanie nim uczonego spoza macierzystej uczelni. Tę rozmowę z prof. Jerzym Kondrackim pamiętam do dziś.

PROM NA SANIE W MRZYGLÓDZIE

Jedziemy więc w Bieszczady: Henryk, Janek, Jasio i ja. Przygoda. W Bieszczady po raz pierwszy. Po raz pierwszy z najbliższymi kolegami. Na tak długo po raz pierwszy. Zrobić mapę geomorfologiczną – też po raz pierwszy. Wieźliśmy w plecakach mnóstwo rzeczy potrzebnych, ale też mniej potrzebnych, a jak się okazało na miejscu – nawet zupełnie niepotrzebnych. Do tych pierwszych należało kilka butelek czegoś mocniejszego. Zabdał o to Janek M. Już na początku okazały się one bardzo przydatne. Znaleźliśmy po przyjeździe pociągiem jakiegoś tubylca, który zgodził się dowieźć nas na kwatery pod warunkiem, że zapłacimy mu butelką o odpowiedniej zawartości promili. Tłukliśmy się furmanką przez lasy i góry ładnych parę godzin. Po drodze pozbyliśmy się przynajmniej połowy zapasów Janka.

Nie pamiętam, gdzie była ta nasza pierwsza kwatera, ale pamiętam, że po dwóch dniach rozdzieliliśmy się, Henryk i ja przenieśliśmy się do Mrzyglodu. Kwatery tam też nie pamiętam, ale cała miejscowość była opustoszała, więc mogliśmy nocować co najwyżej w stodole. Też na pewno opuszczonej.

W terenie poruszaliśmy się tylko z góry albo do góry, inaczej się nie dało. Wszędzie gęste, wysokie krzaki i równie gęste, bardzo lepkie błoto. Niby piękne góry, ale cała reszta już nie tak fascynująca. Tę całą resztę pamiętam do dziś. I tę pustkę dokoła. Nigdzie żywego człowieka. Dziś wiem dlaczego, ale wówczas zdziwienie było totalne.

Zdecydowaliśmy kiedyś, że następnego dnia musimy wreszcie przedostać się na drugi brzeg Sanu. Mostu ani śladu. Na brzegu stała jakaś podejrzanego jakości krypa, połączona cienkim sznurkiem z przerzuconym poprzez rzekę równie cienkim drutem. Dziś nazywa się to przeprawą promową. Zaryzykowaliśmy! Po chwili jednak sznurek trzasnął, drut poleciał gdzieś do tyłu, a my płynęliśmy ostrym nurtem w nieznaną. I w tym nieznanym udało się nam wkrótce, i szczęśliwie, wylądować na brzegu. Bałem się wówczas tak bardzo, że już nic więcej z tej wyprawy nie pamiętam.

Po tych zdarzeniach pozostało we mnie wielkie zdziwienie i uznanie dla wielu moich późniejszych kolegów po fachu, w tym między innymi dla Leszka Starka. Jak oni mogli wówczas prowadzić badania terenowe w Karpatach? I trochę z tego uznania pozostało we mnie do dziś! Ale dziś to takie piękne i przyjazne góry. A wówczas? Wówczas to był rok 1951, może 1952, a cała nasza czwórka była już dobrze zakorzeniona jako młodzi asystenci na lubelskiej uczelni. Bieszczady dofinansowane były przez Komisję Fizjograficzną PAU w Krakowie. Mapa, którą wówczas zrobiliśmy w Bieszczadach, leży zapewne gdzieś w krakowskich archiwach, ale dla nas wszystkich, a dla mnie na pewno, była to bardzo dobra szkoła życia zawodowego w terenie, od kurnej chaty gdzieś pod Włodawą, aż po dobre hotele na zachodzie Europy, z Biblią w szufladzie i telewizorem w kącie pokoju hotelowego. Ale to wszystko było już później, a nawet znacznie później. Obecnie coraz częściej wydaje mi się, że było to wczoraj. Nawet te Bieszczady! I czy rzeczywiście działo się to wszystko ponad pół wieku temu? Chyba tak! Chyba...

Z PROFESOREM I RYBNĄ KONSERWĄ W PIWNICY W CZUMOWIE

Jadę w teren z docentem Jahnem! Wreszcie! Na kilka dni i w tak bliskie mi strony. Do rodziny w Hrubieszowie, tam przenocujemy jedną noc, a może i więcej. Stamtąd na południe. Autobus rozklekotany. Podobno z zachodnich darów, leyland. Środek lata, nawierzchnia „powojenna”, klinkier, szuter, bruk. Asfaltu jeszcze wówczas nigdzie nie było. W autobusie pełno pasażerów, a nawet więcej niż pełno. My obaj jednak siedzimy, z plecakami, łopatkami, aparatami fotograficznymi. Ale nie tylko z tym. Wkrótce po wyjeździe z Lublina docent wyjmuję książkę i zaczyna czytać. *Lord Jim* po angielsku. Tyle zdołałem przeczytać. Powiedział tylko, że to dla ćwiczeń. Wprawił mnie w zadziwienie. W takich warunkach czytać *Lorda Jima*, i to po angielsku? Dużo o tym myślałem i właściwie myślę do tej pory. To się nazywa wykorzystanie czasu! Nie zdziwiłem się, że później został rektorem.

W Hrubieszowskim docent ciągnął na południe. Zawsze to bliżej Lwowa i bliżej górnego Bugu, o którym pisał przed wojną. Jesteśmy więc już w Czumowie. Z daleka widać wysoki brzeg Bugu. Podchodzimy ukosem. I nagle zatrzymujemy się, ale tylko na chwilę. Granica! Zaorany pas ziemi przechodzimy zdecydowanie. To znaczący zdecydowanie przechodzi docent, a ja za nim trochę w strachu. Odsłonięcie piękne. Widać mułki dryasowe. Docent jest zachwycony, bo widział je przed laty w Krystynopolu. Wie dobrze, co to jest, ale ja nie wiem nic. Jestem pełen niewiedzy i strachu po przejściu tego zaoranego pasa. Mój strach był uzasadniony, bo nagle na górze pojawiają się WOP-iści z karabinami wycelowanymi prosto na nas. Nie pamiętam, czy mieliśmy podnieść ręce do góry i jak szybko znaleźliśmy się w ciemnej piwnicy strażnicy WOP-u. Siedzieliśmy tam parę godzin i raz dostaliśmy do jedzenia konserwy rybne. Nawet rozmawialiśmy z WOP-istami o różnych sprawach. Docent zapytał, dlaczego jedzą konserwy wobec takich ilości świeżych ryb w Bugu. Odpowiedź była oczywista. W Bugu nie wolno łowić ryb. Nikomu. Nawet WOP-istom. Innych ludzi tu zresztą nie było w promieniu wielu kilometrów. Po licznych telefonach, w tym do Warszawy, wypuścili nas. Ale czekając na to wypuszczenie, docent dużo opowiedział mi o mułkach dryasowych, o pochodzeniu słowa „dryas” i o wielu innych sprawach zawodowych. Mówił i mówił, może trochę do siebie, może, aby zagłuszyć swój niepokój o nas. Potem mówiło się o tych latach: stalinowskie. Ale wówczas to słowo było jeszcze nieznanie. Ostatecznie wypuścili nas, pouczając, czego nam nie wolno, abyśmy się tu nie wólczyli i nie pokazywali więcej. Ani docent, ani ja nie mieliśmy takiego zamiaru.

Ot, jedna z małych przygód, które wówczas były chlebem powszednim terenowców. Inni moi koledzy mieli jeszcze gorzej. Jasio Trembaczowski był zatrzymany przez WOP-istów, ale i przez „leśnych ludzi”. Posiedział sobie w sumie kilka dni. Przeszło, minęło, ale to się pamięta i ten razowy żołnierski chleb i te rybki z puszki. Głównie jednak te mułki dryasowe. Znajdowałem je potem w wielu miejscach na Lubelszczyźnie, w dolinach, w trudno dostępnych miejscach nad Huczwą i Wieprzem. I zawsze w takich okolicznościach przypominała mi się ta ciemna piwnica. Była to doskonała lekcja nie tylko zawodowa, ale też lekcja życia. Bo gdyby wówczas przeszukali nas

i nasze plecaki i znaleźli *Lorda Jima*? I to po angielsku! I notatki terenowe i mapy? Boże święty! Przeżylibyśmy jeszcze parę dni na tych rybkach. A może więcej niż parę dni. Lepiej o tym nie myśleć.

O TYM, JAK HANDLOWAŁEM LASAMI OKOLIC HRUBIESZOWA I O KAFCE SŁÓW KILKA

A teraz wspomnę o kłopotach, jakie miałem z powodu niewielkiego artykułu, który przesłałem do druku w „Przeglądzie Geologicznym”, organie PIG w Warszawie. Tytuł był *Lessy okolic Hrubieszowa*. Taki albo bardzo podobny. A mieszkaliśmy jeszcze w Lublinie na ul. Farbiarskiej 2 m. 11. Pewnego dnia zastałem w domu list, a w nim wezwanie do urzędu skarbowego, by stawić się w terminie „na wczoraj”. Poszedłem, a tam postawiono mi zarzut przestępstwa z paragrafu takiego to, a takiego, grożący karą do tyłu, a tyłu lat więzienia. Wystraszyłem się. W uzasadnieniu przeczytałem, że wycinam lasy okolic Hrubieszowa i drewno wywożę do Warszawy, gdzie sprzedają je zapewne z dużym zyskiem, nie płacąc przy tym żadnego podatku. Zaprzeczyłem temu z całej siły. Pojąłem, że ktoś nie rozumiał różnicy między lasem i lasem, ale tylko tyle, całej reszty nie rozumiałem i na dobrą sprawę nie pojąłem nigdy potem. Dziś widzę, że były to czasy rozwoju młodego socjalizmu w Polsce, lata 1951–1954. Urzędnicy chcieli być bardziej święci niż sam papież, więc starali się nawet aż za bardzo. I tyle. Do tego należy dodać mój stały strach przed każdym urzędem, a zwłaszcza przed wizytą w nim. Tyle różnych korytarzy, tyle dookoła pokoi i tyle biur w każdym pokoju. Zupełnie jak dzisiaj. Tyle że dziś mniej się boję. A może wreszcie w ogóle się nie boję. Kilka lat później przeczytałem całego Kafkę i uznałem, że to jest to. Klimat jego książek, a zwłaszcza *Procesu*, to jest właśnie atmosfera urzędu, każdego urzędu. Kafkę uznałem za największego pisarza, którego książki czytałem, i tak to pozostało do dzisiaj, tak jak *Wesele* Wyspiańskiego jest dla mnie najwspanialszym polskim dziełem poetyckim. W Lublinie było ono wystawiane zaraz po ucieczce Niemców w 1944 roku przez teatr Wojska Polskiego (tak on się chyba nazywał, a może nawet Teatr I Armii Wojska Polskiego – nie pamiętam). Obsada *Wesela*, jak później się przekonałem, była znakomita. W ogóle cały zespół był znakomity. Pamiętam do dziś sztukę Szaniawskiego *Adwokat i róże* z Antonim Różyckim w roli głównej. Obejrzałem ją kilka razy. Podobnie jak i *Wesele*. Teatr lubelski z tamtych lat dał mi bardzo wiele. Po raz pierwszy oglądałem prawdziwą sztukę, słuchałem prawdziwego wiersza i widziałem dookoła ludzi przejętych, zjednoczonych tym samym doznaniem. Każde pójście do teatru było dla mnie wielkim przeżyciem. I pamiętam do dziś wiele szczegółów.

Tak oto od urzędu skarbowego zawędrowałem do teatru lubelskiego, tyle że przez Kafkę. Dla mnie to był geniusz. Nie czytałem nic, co byłoby pisane tak prostymi słowami i zdaniem, co opisywałoby tak zwyczajne zdarzenia, a jednocześnie zawierało tyle poezji i niezwykłości.

ARCHEOLOGDZY SKOSZAROWANI W HRUBIESZOWIE,
CZYLI O POTĘDZE SUGESTII WIELKIEGO UCZONEGO

Nie wiem, jak to się stało, ale niemal bezpośrednio po zakończeniu studiów otrzymałem zaproszenie, by wziąć udział w pracach wielkiej ekspedycji archeologicznej, która w 1952 roku miała zainicjować badania nad początkami państwa polskiego. Kwaterą dla całej ekspedycji miały być koszary wojskowe w Hrubieszowie, a obiektem badań Gródek nad Bugiem. Gródek znałem już nieco wcześniej, chyba z objazdu terenowego, do którego wziął mnie prof. A. Jahn. Wiedziałem, że jest tam dużo lessu przedzielonego czarnoziemną glebą kopalną. Byłem więc przekonany, że badania te obejmą raczej tę glebę, co było oczywistym nonsensem, jednak nie dla mnie.

Ekspedycja wyglądała imponująco. Już samo zakwaterowanie dawało wiele do myślenia. Dostać zgodę na umieszczenie kilkudziesięciosobowej grupy w wojskowych, czynnych koszarach, w strefie nadgranicznej, a Hrubieszów był w takiej, z pełnym wyżywieniem – nie wyobrażałem sobie, jak można było tego dokonać. Ale po jednym dniu pobytu w koszarach wiedziałem już, że człowiek, który tym kierował, był w stanie załatwić wszystko. Szefem ekspedycji był bowiem prof. Zdzisław Rajewski, archeolog, dyrektor Muzeum Archeologicznego w Warszawie, jeszcze przed wojną kierownik prac wykopaliskowych w Biskupinie. Człowiek o niespożytej energii, pełen polotu, bezpośredni, ale stanowczy w swych decyzjach podejmowanych szybko i ostatecznie. Zaimponował mi od samego początku, podobnie jak i inni uczeni, którzy brali udział w tej ekspedycji. Byli wszyscy, profesorowie (wielu z nich wówczas jeszcze bez tego tytułu) Gąssowski, Hensel, Jażdżewski, Nadolski, Rauhut, Zbiński, Samsonowicz i wielu innych. Przebywał tam również Paweł Jasienica. Ten ostatni w swej książce-reportażu *Archeologia na wrywki* wspomina o tej ekspedycji. Praca ruszyła ostro, systematycznie, każdego dnia od ósmej do szesnastej. Ja kwaterowałem u wujostwa, ale codziennie byłem odpowiednio wcześniej w koszarach.

Po pewnym czasie rano prof. Rajewski ogłosił wszystkim, że ma nam coś do pokazania. Wszyscy wspięliśmy się na sam szczyt pagórka w Gródku. Zobaczyliśmy wielki, bardzo głęboki dół, z dokładnie wyczyszczonym dnem, a na dnie, na tle jasnosłomkowej barwy lessu, czarną plamę. Ale była to plama niezwykła, ponieważ miała kształt ryby, dużej, około metra długości. Widoczny był ogon i przynajmniej jedna płetwa. Zdziwienie było zupełne. Wszyscy słuchali objaśnień prof. Rajewskiego. Powiedział, że jest to ryba złowiona we wczesnym średniowieczu. Ówczesni mieszkańcy żywili się takim rybami, łowionymi w płynącym u stóp wzgórza Bugu. Padła nawet hipoteza, po dłuższej dyskusji, że jest to jesiotr, bo większych ryb nie mogło tam wówczas być.

Stałem i słuchałem oszołomiony tymi opiniami i wielką intuicją profesora. Zresztą nie tylko ja, inni również. Profesor z wielką sugestią długo o tym opowiadał, prawie jakby tam wówczas był i tę rybę łowił. Ja jednak uprzytomniłem sobie, że przecież na zboczu podcinanym przez Bug widziałem glebę czarnoziemną, na której leżała warstwa lessu. Coś mnie tknęło i cicho powiedziałem jednemu z młodszych kolegów

archeologów o tym, co to może być. Zbeształ mnie po cichu i dał do zrozumienia, że ja tu nic nie mam do gadania i mam słuchać opowiadania profesora. Słuchałem więc i kiedy wreszcie zostałem zapytany, co o tym sądzę, bo przecież byłem tam od spraw całca, odpowiedziałem, że nie wiem, co o tym sądzić. Sugestia była totalna. Ostatecznie zdecydowano, że rybę należy odpowiednio zapakować i ostrożnie przetransportować do Warszawy, by poddać ją specjalistycznym badaniom. Nie wiem do dziś, jak to wszystko się skończyło.

Nie będę wspominał o innych ciekawych i pouczających zdarzeniach z tej ekspedycji, ale to jedno pamiętam do dziś. Przecież to była moja kompromitacja. Oczywiście nie była to ryba, ale intersekcyjnie ścięty nierówny strop gleby kopalnej. Dziś mogę powiedzieć – gleby liczącej przynajmniej 60 000 lat. Bo cóż ja, ledwo po studiach, mogłem wówczas przeciwstawić wielkiej potędze autorytetu i sugestii, zwłaszcza że pozostało we mnie jeszcze trochę nieśmiałości z lat dziecinnych.

CO DALEJ?

W moim wieku pytanie to może wydawać się śmieszne. Ale nie jestem pesymistą! Jeśli ktoś przeczyta moje wspomnienia z początku historii studiów geograficznych w UMCS i popatrzy nie za siebie, ale przed siebie, to proponuję refleksję wynikającą z ostatnich zdań. Jest tak oczywista, że może nawet nie wymaga literalnego sformułowania. Profesorowie – pamiętajcie, że autorytet może być niebezpieczny dla młodych, chcących pracować w nauce; młodzi – miejcie odwagę głośno formułować swe uwagi, nawet kiedy jesteście pod przemożnym wpływem swych i cudzych mistrzów. Postęp w nauce polega również na obalaniu dorobku mistrzów!